

ANEKS 1

Banach prywatnie i na co dzień

Na fotografiach widzimy dobrze zbudowanego, wysokiego i masywnego mężczyznę, z wysokim czołem, gładko zaczesanymi włosami, uśmiechającego się na pół sceptycznie, na pół ironicznie.

Najbardziej przyciąga w tej twarzy dziwny wyraz niebieskich oczu: przenikliwe, błyszczące jak gdyby prześwietlały rozmówcę na wskroś i kierowały się gdzieś w przestrzeń międzygwiazdną. Można odnieść wrażenie, że są to oczy „nie z tego świata”. To może, dosyć egzaltowane – zdaję sobie z tego sprawę – odczucie potwierdzają jednak relacje osób, które z Banachem spotykały się na co dzień. Tak na przykład prof. Andrzej Alexiewicz podaje, że oczy Banacha zawsze „wywierały wielkie wrażenie”, prof. Kazimierz Kuratowski mówił, że Banach miał „niesamowite przenikliwe spojrzenie”, była studentka Banacha ze Lwowa mówi o „fascynujących oczach”.

Jaki był Banach na co dzień?

Z dotychczas podanych przeze mnie faktów, relacji, domniemań i dowodów pośrednich wyłania się obraz nader sympatyczny. Jakbyśmy to dziś ujęli autentyczny *self-made-man*, ale pozbawiony drapieżności i brutalności, dobry kolega i przyjaciel, a nade wszystko uroczy kompan, miły i bezpośredni opiekun młodych (nie zapominajmy, że przed wojną Banach był kierownikiem katedry, żywo interesującym się prozaicznymi sprawami studentów, a nade wszystko roztaczającym opiekę naukową

nad każdym uzdolnionym i wybijającym się ponad przeciętną studentem).

Miał wiele słabości – to prawda – jest to jednak dla mnie tylko dowodem, że prowadził życie autentyczne, był w zgodzie sam ze sobą, nie poddawał się sztucznym kanonom, nie był hipokrytą. Nie nosił cylindrów i fraków, gdyż uważał, że są niewygodne (w przeciwieństwie do wielu swoich kolegów, którzy swoje godności naukowe i zaszczyty społeczne ubierali w eleganckie garnitury, bo tak wypadało, bo takie były formy, bo tego wymagał status uniwersyteckiego profesora).

Zresztą większość jego słabości wydaje mi się ogromnie sympatyczna. Banach uczęszczał na przykład na mecze piłki nożnej. Jego koledzy uważali to za coś wręcz prostackiego. Dla nich – jeżeli już sport – to coś eleganckiego: tenis, jazda konna. Banach nie przejmował się tymi opiniami.

Lubił robić to, co chciał. Zresztą czy dałby z siebie światu więcej, gdyby był inny?

Steinhaus omawiając problematykę badań Banacha pisze:

„Trzeba tu stwierdzić z zalem, że wiele cennych rezultatów Banacha i jego szkoły przepadało z wielką stratą dla nauki polskiej wskutek braku pedanterii u adeptów tej szkoły, a przede wszystkim u samego Banacha”.

Ale czy profesor Steinhaus trochę nie przesadza? Profesor Andrzej Turowicz odpowiada: „Niestety, to nie przesada. Sądzę, że więcej przepadło niż zostało opublikowane. Oczywiście najważniejsze rzeczy Banach opublikował, ale nie wszystkie. Wyjaśnię przyczynę. Banach nie był w stanie zredagować uzyskiwanych w zdumiewa-

jącym tempie nowych twierdzeń. Ludzie wyobrażają sobie, że twórcza praca matematyka polega na tym, że siedzi on sobie przy biurku i rachuje. Nic podobnego. praca polega na tym, że stawia się pytanie, czy jakieś nowe twierdzenie jest prawdziwe, czy nie i trzeba wymyślić dowód na prawdziwość lub fałszywość rozważanego twierdzenia. Czasem to myślenie trwa przez wiele godzin w ciągu wielu tygodni lub miesięcy. Znam wypadek, kiedy matematyk myślał uparcie o pewnym zagadnieniu przez kilkanaście lat. Otóż Banach bił wszelkie rekordy szybkości, z jaką dochodził do nowych rezultatów. A uzyskanie rezultatu naprowadza najczęściej na nowe zagadnienie. Tak więc Banach nie notował większej części swoich wyników naukowych, komunikował je tylko ustnie w gronie matematyków lwowskich. Gdyby więc dwóch lub trzech z nich, zajęło się redagowaniem tego, co usłyszeli od Banacha, to cały jego dorobek byłby uratowany. Ale każdy woli robić swoją robotę, niż spisywać cudze twierdzenia. Gdyby za życia Banacha był znany magnetofon, to można by było mieć całą jego twórczość na taśmie. Ale nie dożył do czasów stosowania magnetofonów”.

Wydaje się, że wiele krążących do tej pory opinii o Banachu uznać można za krzywdzące i niesprawiedliwe.

„Z upodobaniem dopatrujemy się wszędzie zła i przesadzamy w tym znacznie” – pisał Wolter.

Lubowano się w opowieściach o tym, że pił mnóstwo alkoholu i kawy. To prawda. Ale nie przeszkadzało mu to ani w pracy, ani w wypełnianiu swoich obowiązków wobec rodziny, uczelni, studentów, współpracowników.
Antonina z Greczków Waksmundzka wspomina:

„Brat palił, pił filizankami kawę, używał dużo alkoholu. Miał jednak nieprawdopodobnie mocną głowę. Kiedyś

wybrał się na zjazd matematyczny do Gruzinów. Na przyjęciach, istnieje u nich obyczaj przepijania do każdego biesiadnika kieliszkiem mocnej gruzińskiej wódki. Banach potrafił przepić do wszystkich biesiadników i trzymać się mocno na nogach, natomiast pozostali matematycy znikali stopniowo pod stołem w trakcie kolejnego toastu”.

Troszczył się o bliskich tak bardzo, że ryzykował życie (w czasie zajęcia Lwowa przez Niemców), by wrócić do rodziny i otoczyć ją opieką.

Poświęcał nieproporcjonalnie dużo czasu zdolnym studentom ze swojej uczelni. **Doc. Kazimierz Szalajko**, student, a później asystent Stefana Banacha, mieszkający obecnie w Gliwicach, tak opisuje Banacha jako profesora i opiekuna młodych:

„Banach był na ogół dostępny: można było w każdej chwili do niego przyjść, gdy pracował w swoim gabinecie w starym gmachu UJK. Na wykładach nie dyskutowano z profesorem, studenci byli onieśmieleni – istniał pewien dystans między wykładownicą a słuchaczami. Pamiętam, że egzamin u Banacha przebiegał w spokojnej, sympatycznej atmosferze. Udowodniłem pewne twierdzenie i wprowadziłem założenie o ciągłości. Banach spokojnie wyjaśnił mi: Tego pan jeszcze nie wie, ale przy uogólnianiu twierdzeń, założenia opuszcza się.

Później na seminarium Banach starał się zainteresować studentów problemami matematycznymi: dawał do wyboru tematy, którymi można było się zająć, a kiedy poszukiwało się literatury przedmiotu, odsyłał do Auerbacha – znawcy literatury matematycznej. W latach trzydziestych Banach pełnił funkcję opiekuna Koła Matematyczno-Fizycznego na UJK. Opiekunów kół naukowych

senat uczelni wyznaczał na okres trzech lat. Koło urzędu-
ło m.in. wycieczki turystyczne, organizowało zabawy
studenckie. Banach często uczestniczył w tych impre-
zach, wcale nie przymuszony do tego presją ani obowiąz-
kiem”.

Absolwent matematyki na uniwersytecie Jana Kazi-
mierza, **Józef Jarymowicz** powiada, że „błogosławiony
był ten rocznik, którego opiekunem był Banach”. I dalej:

„Miał dar jasnego przejrzystego przekazywania wie-
dzy matematycznej. Na wykładzie mówił lekko przyciszo-
nym głosem, lecz na sali było cicho: każdy był zasłuchany
w to, o czym mówił. Posługiwał się bardzo prostym
językiem. Słuchając jego wykładów mieliśmy uczucie
jakby do nas mówił: Patrzcie, to takie proste i łatwe. Po
tych wykładach nie trzeba było dodatkowo wkuwać
materiału, bo po wyjściu z zajęć już rozumiało się po-
szczególnie zagadnienia z wykładanego przedmiotu. A dla
matematyka zrozumienie pojęć, twierdzeń czy teorii, to
sprawa podstawowa. Z reguły spóźniał się na wykład
10–15 minut, ale w ciągu pół godziny docierało do nas
więcej niż to, co dotarłoby po paru godzinach wykładów
kogoś innego. Poza Banachem wszyscy wykładowcy
przeżywali swoje wykłady, przekazywali materiał nieco
nerwowo i nie potrafili jak on, robić to tak prosto i jakby od
niechcenia”.

A Helena Opolska wspomina:

„Zapraszaliśmy Banacha na bale studenckie, które
odbywały się w męskim akademiku na ul. Łozińskiego,
czasami w hotelu George’a. Ktoś z organizatorów udawał
się na ulicę Supińskiego do mieszkania Banacha i prosił,

aby przybył z żoną na bal. Na zabawie Banach obtańcowywał wszystkie studentki. Był profesorem czarującym, bezpośrednim w kontaktach z młodzieżą studencką. I jak bardzo dobrze tańczył, tak był niesłychanie wymagającym egzaminatorem. Kiedyś w hotelu „George” urządziliśmy całonocny bal. Bawiliśmy się świetnie, lecz o szóstej rano orkiestra zaczęła chować instrumenty, co oznaczało koniec balu. Wszyscy zaczęli żałować, bo atmosfera zabawy była niepowtarzalna. I wtedy interweniował Banach. Podeszedł do orkiestry: Niech się młodzież jeszcze trochę pobawi – powiedział i zapłacił za dodatkowe granie. A do nas: Bawcie się jeszcze godzinę”.

Życzliwy, nawet wręcz ojcowski, a jednocześnie partnerski, pozbawiony pogardy czy poczucia wyższości, Banach był również w stosunku do swoich asystentów. Wspomina **doc. Kazimierz Szałajko** (cytat ten charakteryzuje jednocześnie Banacha jako człowieka pracowitego, nie oszczędzającego się, upartego, solidnego, solidarnego, zdążającego do celu najkrótszą, bo najprostszą drogą):

„Pamiętam jak pomagałem Banachowi w przygotowaniu podręcznika dla szkół. Przed wojną wydawaniem podręczników zajmowały się wielkie wydawnictwa. We Lwowie taką rolę spełniało wydawnictwo Książnica-Atlas. Na podręcznikach, wydawnictwa robiły znaczny interes, ale jako spółki handlowe ponosiły ryzyko. Zwracano się do znakomości naukowych, zawierano z nimi umowę, podręcznik mógł być gotów, ale ministerstwo mogło podręcznika takiego nie zatwierdzić jako lektury szkolnej i wtedy wydawnictwo ponosiło stratę.

W 1936 roku wołał mnie do siebie Banach i mówił, że jest robota i chciałby, abym pomógł mu w redagowaniu

podręcznika. Zgodziłem się; dla mnie był to wielki zaszczyt, że mogłem współpracować z Banachem. Wiedziałem, że podręcznik ma być gotowy za kilka dni, a Banach ma zaledwie kilka luźnych kartek tekstu. Umówiliśmy się za kilka dni. Wiedziałem, że siedzi już nad koncepcją podręcznika, bo w jego gabinecie paliło się do późnej nocy światło. Przyszedłem w czwartek i zaczęła się robota, która bez przerwy trwała do niedzieli. Oprócz mnie pomagał Auerbach. Banach zajmował się sprawami teoretycznymi, a Auerbach przygotowywał zadania matematyczne i przepisywał cały tekst na czysto. Tylko na krótkie przerwy wychodziliśmy do Szkockiej, by pokrzepić się mocną kawą lub coś zjeść. Oczy kleiły mi się ze zmęczenia, gdy rozmawialiśmy o tym, co pozostało jeszcze do zrobienia. Brałem od nich napisane kartki manuskryptu, numerowałem strony, robiłem korektę i dyktowałem tekst maszynistce.

Wydawnictwo postawiło do naszej dyspozycji cały sztab ludzi. Oprócz maszynistki, drukarzy, na próbny wydruk podręcznika czekał już specjalny kurier, który miał zawieźć tekst do Warszawy, aby w poniedziałek rano znalazł się w ministerstwie. Ostatnie strony powstały w niedzielę.

W poniedziałek ponownie byłem u Banacha. Wziął jakiś świstek papieru i napisał na nim kilka zdań polecających wypłacenie mi w wydawnictwie 450 złotych. Dla mnie była to duża suma – jako asystent zarabiałem 160 złotych miesięcznie”.

Dochodzimy tutaj do innej cechy charakteru Banacha, połączonej zresztą z jego niechęcią do konwenansów i bezsensownych stereotypowych zachowań. Banach nie lubił tracić czasu. Zdarzało się – zaczynał zajęcia ze studentami w październiku, a w grudniu już je kończył,

mimo że program pomyślany był na cały rok akademicki. Przy tym jest oczywiste, że wykłady te, prowadzone w sposób przejrzysty i zrozumiały, nie zostały – jak to się mówiło – „odbębnione”, lecz potraktowane z całą powagą i odpowiedzialnością jaką winien jest profesor młodszym adeptom tej dziedziny wiedzy, w której zrozumienie jest ważniejsze od wyuczenia się na pamięć.

Wszystkie relacje zgodne są co do tego, że Banach był niezmiernie pracowity. „To prawda – mówi prof. Andrzej Turowicz – ale jego pracowitość była niepodobna do pracowitości innych ludzi. Pracownik naukowy do pracy potrzebuje z reguły ciszy i spokoju. A Banach nie. Większą część dnia spędzał w kawiarniach, nie tylko w towarzystwie, ale i samotnie. Lubił hałas i muzykę, to nie przeszkadzało mu skupić się i myśleć. Były wypadki, że – po zamknięciu kawiarni nocą – szedł na dworzec kolejowy, gdzie bufet był otwarty całą dobę, i tam przy szklance piwa rozmyślał nad swymi problemami. Dla ścisłości dodam, że niektórych problemów nie mógł szybko opłynać. Mówił mi raz, że nad pewną kwestią myślał przez parę miesięcy po kilka godzin dziennie. Ale w przypadkach mniej trudnych, twierdzenia jego tryskały jak fontanna. To było coś niebываłego i zadziwiającego”. Pracował po kilkanaście godzin dziennie (i nic tu nie ma do rzeczy, że głównie odbywało się to w kawiarni) i poza matematyką nic go specjalnie nie interesowało. Mecze piłki nożnej, czasem szachy, czasem gra w karty, wyjazdy w góry, do Zakopanego lub do górskiej wioski Skole niedaleko Stryja – oto jedyne chwile relaksu i odpoczynku.

„Człowiek o dziwnej wyobraźni” – mawiał o nim **Franciszek Leja** i być może od tego należałoby rozpocząć analizę psychologiczną Banacha (o ile ktoś się kiedyś tego podejmie).

Jest faktem, że żył dobrze z samym sobą. Był człowiekiem o pogodnym usposobieniu, bezpośrednim stylu bycia. Kazimierz Kuratowski pisze, że był niezwykle komunikatywny i że dzięki temu miał ogromny wpływ na środowisko lwowskie i na swych licznych uczniów.

Banach robił to, w co wierzył. Cechowała go na co dzień sceptyczna, zabarwiona szczyptą ironii głęboka mądrość.

Był człowiekiem skromnym, a jednocześnie świetnie znał swoją wartość. Kiedyś powiedział do siostry Antoniny: „Jeśli będziesz za granicą, to tylko idź do matematyków i powiedz, że jesteś siostrą Banacha, wszędzie otworzą ci drzwi”. Ale sam nigdy nie wykorzystywał swojej wysokiej, prestiżowej pozycji.

Hugo Steinhaus pisał o nim w 1948 roku w „Colloquium Mathematicum”: „Banach nie był matematykiem finezji; był matematykiem siły” („Banach n’était pas mathématicien de la finesse; il était mathématicien de la force”).

Tu trzeba dodać, że nawet geniuszowi nie wszystko przychodzi łatwo. Z informacji zamieszczonych w rozdziale *Lwów i matematyka* widać, że teoria Banacha nie rozwinęła się błyskawicznie, że czasami szła opornie i dopiero po udowodnieniu w roku 1927 podstawowego twierdzenia (zwanego dziś twierdzeniem Banacha–Steinhaus) teoretyczna praca Banacha była już łatwiejsza.

Nie da się pominąć roli Banacha jako organizatora. Stworzył pewien styl pracy, który nazwano „polskim sposobem uprawiania matematyki”. Styl ten polegał na pracy zespołowej, wspólnym rozwiązywaniu problemów i to często w miejscach niecodziennych.

W pośmiertnym wspomnieniu o swoim „największym odkryciu matematycznym” Steinhaus powiedział:

„Łączył on w sobie iskrę geniuszu z jakimś zadziwiającym imperatywem wewnętrznym, który mu mówił bezustannie słowami Verlaine’a: »Jest tylko jedno: żarliwa gloria rzemiosła« a matematycy wiedzą dobrze, że ich rzemiosło polega na tej samej tajemnicy, co rzemiosło poetów...”